

informer

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



nr 157

czerwiec 2002



W NUMERZE:

PREZENT DLA CZYTELNIKÓW DUNCANIA

oraz Frankenstein, Spiderman, Nowak i inni

FRANKENSTEIN NIEJEDNO MA OBLICZE

Pomysł na ten wstępniak chodził za mną od paru miesięcy. Ale były sprawy pilniejsze: początek ekranizacji Tolkiena, operacja Kaczmaro, piwo na upały...

Pod koniec tej zimy, będąc na delegacji w Wiśle, obejrzałem sobie któreś nocy w TV film Rogera Cormana *Frankenstein przyszłości* (wg jakiegoś nieznanego mi utworu Aldissa albo Asimova – nawet nie zakonotowałem dokładnie; w roli głównej John Hurt, jako Mary Shelley – Bridget Fonda, jako Victor Frankenstein – nieodżałowanej pamięci Raul Julia). Widziałem kiedyś kawałek tego filmu na satelitarnym kanale Pro 7 – i, nie władając mową Goethego i Goebbelsa, odebrałem go jako totalne pomieszenie z poplątaniem.

Fabula filmu (a pewnie i literackiego pierwowzoru) nie jest nadzwyczajna, nawet taki klasyk jak Corman miał trudności z tchnięciem w nią „ikry”: w drugiej połowie XXI wieku naukowiec pracujący nad nową bronią zakłóca czasoprzestrzenną równowagę wszechświata, co grozić może zagładą totalną – jego zaś przerzuca do Szwajcarii z początków XIX stulecia. Ale jeden pomysł jest genialny: nasz bohater spotyka tam nie tylko Byrona, Shelleya i jego przyszłą żonę (jednocześnie – przyszłą autorkę powieści o uczonym, który z martwych ciał stworzył nieszczęsne monstrum), ale również – doktora Victora Frankenstein, jego narzeczoną Elizabeth oraz... potwora powołanego przez Frankenstein do życia. Tak więc, jak się okazuje, Mary Wollstonecraft Shelley swą przerażającą powieść napisała „z natury”. Widać, że proces pisania *Nowego Prometeusza* trapije filmowców niemal równie mocno, jak sama fabuła (najciekawszym i najwybitniejszym przykładem jest tu *Gotyk* Kena Russela!).

Jednak przeciętnemu odbiorcy kultury masowej hasło „Frankenstein” kojarzy się nie z Victorem, lecz z jego dziełem, sam potwór zaś – nie jest nieszczęsnym odrzutkiem, ale zbrodniarzem o zwyrodniałym mózgu. To zasługa innego filmu: *Frankenstein* Jamesa Whale'a, klasycznego arcydzieła kina grozy z 1931 roku. Powieść Mary Shelley skupia się na tragedii uczonemu, który w swej racjonalistycznej pysze sięgnął po wiedzę zarezerwowaną dla Boga (jakież to współczesne!); monstrum zaś nie jest od początku czynnikiem niszczącym (później dopiero odpłaca się krwawo za otaczającą go powszechnie, a niezawinioną przezeń, nienawiść).



Mary Shelley



W filmie Jamesa Whale'a nie ma subtelnosci: mniej jest rozterek naukowca, a potwór od początku jest zły, gdyż przez pomyłkę wszczepiono mu mózg zbrodniarza-psychopaty. I to potwór skupia na sobie całą uwagę widza, „kradnie” nawet imię swemu twórcy. Ogromna w tym zasługa Borisa Karloffa – brytyjskiego aktora (naprawdę nazywał się on William Henry Pratt), charyzmatycznego gwiazdora filmów grozy. Wiem: dziś maska „Frankensteina” się nieco opatrzyła, często jest też parodiowana (vide nawet moje *Wampiury*), ale wtedy, w początkach lat 30., musiała wywoływać – mimo (a może dzięki!) oszczędności środków – przeogromne wrażenie. Błada, nieruchoma twarz, pozbawione inteligencji, skryte za opadniętymi powiekami oczy, zdeformowana czaszka, niezdarne ruchy mechanicznej lalki... Boris Karloff okazał się

godnym następcą Lona Channeya (znanego chociażby w *Operze* w słynnej niemieckiej wersji)! Monstrum opisane w powieści jest na pewno mniej wyraziste (jakaż wyrazistością mógłby wykazywać się delikwent poskładany z kawałków martwych ciał!), więc Karloffowej kreacji raczej nikt nie przeskoczy.... Nie udało się to nawet Robertowi De Niro w niedawnej superprodukcji Kennetha Branagha; ale pamiętać należy, iż temu obrazowi przyświecał zupełnie inny cel: przywrócenie kinu oryginalnej wizji autorki (pełny tytuł filmu: *Frankenstein Mary Shelley*). Zresztą Whale też próbował nawiązać do wersji Shelley – w kontynuacji swego dzieła: *Narzeczonej Frankenstein* (1933 r.); większość krytyków stawia ten film wyżej od pierwszej części, ja osobiście niezbyt go lubię (moim zdaniem burzy ascetyczną, spójną i konsekwentną konstrukcję tamtego), wołę już raczej *Syna Frankenstein* (też z Karloffem; tam właśnie monstrum otrzymuje swe futrzane wdzianko, pojawiają się też Igor i jednoręki żandarm – tak pysznie sparodiowani przez Mela Brooksa w jego *Młodym Frankensteinie*).

Tak więc naliczyłem oto cztery różne oblicza Frankenstein: twórca potwora, sam potwór, potwór z powieści Shelley, potwór z filmu Whale'a...



CZERWCOWE POSIEDZENIE ZARZĄDU GKF

Odbyło się w dniu 2002-06-16 r. Ważniejsze z poruszanych spraw.

I. SPRAWY PERSONALNE

1. Przesunięcie z kandydata na członka zwyczajnego GKF

Brethren – Sebastian Furtak

Snot – Krzysztof Kawczyński.

2. Skreślenia z listy członków GKF

Za niepłacenie składek zostali skreśleni:

Angmar – Piotr Zgierski, Adam Włodarczyk

Brethren – Tytus Kamil Mikołajczak

First Generation – Mariusz Pawlicki.

II. SPRAWY FINANSOWE

1. Skarbnik GKF podał stany subkont KLów i KSów.

2. Prezes GKF omówił składkoplacność w II kwartale 2002 r.

III. PRACA KOMISJI REWIZYJNEJ

1. Omówienie przebiegu kontroli Działu Gier Strategicznych.

2. Na sierpień została zaplanowana kontrola Działu Bibliotecznego (Sekcja Polskojęzyczna, Sekcja Fanzinów i Komiksów oraz rekontrola Sekcji Obcojęzycznej).

3. Na sierpień została zaplanowana również kontrola Działu Filmowego.

IV. IMPREZY

1. Omówienie stanu przygotowań do konwentu TELEPORT 2002.

2. Informacja o Pikniku na Skraju Drogi.

BRAT ALBERT SIĘ ZSEKULARYZOWAŁ!

22 czerwca 2002 r. o godz. 15:00
Iga Leszczyńska i Robert Szewczyk
zgodnie wypowiedzieli
sakramentalne „tak”
w oliwskim kościele
p.w. Św. Jakuba

...wszystkiego naj... NAJ... N A J !!!
życzą Im Obojgu –

Przyjaciele z GKF



URODZINY

Kochani Sierpniowi Urodzeńcy!
Powiemy krótko:
OWOCNYCH ŻNIW!! (na każdym polu)

GKF ☺

- 1 Maciej Więcek
- 2 Wojciech Ratajski
- 3 Krzysztof Nowak
- 4 Monika Grabowska
- Witold Nicowski
- Marcin Stangel
- 8 Ireneusz Dąbrowski
- 9 Łukasz Piwek
- 10 Artur Piaszczyński
- 13 Ryszard Turek
- 15 Tomasz Nowak
- 16 Wojciech Buđa
- Waldemar Lisowski
- 20 Greg Bear
- 21 Łukasz Zakrzywicki

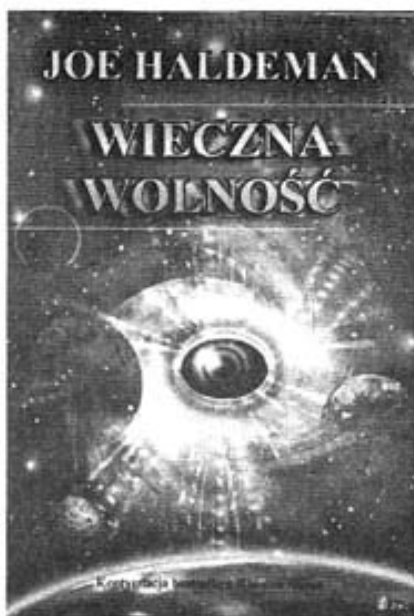


- 23 Krzysztof Kawczyński
- Zenon Mazurkiewicz-Dubieński
- 25 Michał Dargacz
- Emir Muchla
- 26 Piotr Kowalski
- 27 Bożena Borek
- Władysław Wojtkiewicz
- 28 Aleksandra Mochocka
- 30 Marek Grajkowski
- Wojciech Olszewski

Nowości biblioteki GKF w czerwcu 2002

- album: Chojnacki Dariusz „Sfery”. Repro-Centrum
- Barker Clive „Imajica: Pojednanie”. Fantasy – cz. 2. i ostatnia. MAG
- Foster Alan Dean „Nadchodząca burza”. Star Wars – „wstęp do cz. II »Atak klonów«”. Amber
- Gortat Grzegorz „Świt Kambriddów”. Fantasy, tom 1. Siedmioróg
- Gortat Grzegorz „Cień Kwapry”. Fantasy, tom 2. Siedmioróg
- Haldeman Joe „Wieczna wolność”. Space opera (kontynuacja „Wiecznej wojny”. Zysk i S-ka
- Kotzwinkle William „E.T.: Księga Zielonej Planety”. Kontynuacja „E.T.” na podst. opowiadania Stevena Spielberga. Amber
- Pierumow Nik „Pierścień Mroku 3: Adamant Henny”. Fantasy. Prószyński i S-ka
- Pilipiuk Andrzej „Czarownik Iwanow”. Bliski zasięg/humor. Fabryka Słów
- Sędzikowska Mirosława „Wizyta u wiedźmy / Gandziolatki”. Fantasy/humor. SuperNOWA
- Wolski Marcin „The BESTiarium: Laboratorium nr 8, Matriarchat, Świnka, Numer”. Zbiór czterech mikropowieści. Solaris
- fanzin „Andromeda Nachrichten 194”
- komiks: Leo „Aldebaran 1: Zagłada”. Siedmioróg
- komiks: Leo „Aldebaran 2: Blondynka”. Siedmioróg

przyg. misz



NIUSY



IV WEEKEND Z FRANKENSTEINEM

...odbył się w dniach 8-9 czerwca br. w Ząbkowicach Śląskich (to dolnośląskie miasto, założone w XIII wieku przez osadników z Frankonii, nosiło aż do 1945 roku nazwę... Frankenstein!).

jpp

POMORSKI PARK NAUKOWO-TECHNOLOGICZNY

...ma powstać (m.in. dzięki funduszom PHARE) w dawnej zajezdni autobusowej w Gdyni.

Początkowo rozpatrywany był Gdańsk – ale władze wojewódzkiego grodu nie potrafiły się dogadać co do lokalizacji...

jpp

POTENCJALNE ŻYCIE, POTENCJALNA ZAGŁADA...

Dwie sensacyjne wieści naukowe z ostatnich tygodni:

- być może powierzchnia Marsa pokryta jest lodowcami zawierającymi H₂O (nie dostrzeżono ich wcześniej, gdyż są one... przysypane marsjańskim pyłem);
- gwiazda znajdująca się o 150 lat świetlnych od Ziemi może zamienić się w supernową, co spowodować by mogło solidne przetrzebieżenie życia na naszej planecie (bezpieczna odległość wynosi minimum... 200 lat świetlnych).

Wobec tak doniosłych odkryć reaktywujemy chyba ostatecznie (własnymi siłami, bez niczych obietnic) rubrykę „SCIENCE sans FICTION”!

jpp

TRZY DZIEWIĄTKI „AQQ”

Podczas mego „wampiurzego” spotkania autorskiego na Teleporcie-2/Gdaku-5 otrzymałem, z rąk samego Naczelnego (dzięki, Witku!), najnowszy – dwudziesty siódmy – numer „AQQ”. A w nim: komiksy, publicystyka i *clou* programu – wywiad-rzeka z Tadeuszem Baranowskim.

jpp

WIECZÓR ŚWIĘTOJAŃSKI

23-go czerwca odbyło się tradycyjne Garden Party W Kwiatkach u PiPiDziejów.

pak

KOLEJNA »ŚWIĘTA WOJNA« W FANDOMIE

... toczy się między Jackiem Inglotem a Robertem Szmidtem. Początkowo chodziło o zwykły plagiat, obecnie obie strony walczą już o zasady – z zastosowaniem broni masowego rażenia. Miejmy nadzieję, że prez. Bush nie przyśle komandosów i B 52.

pak

EPISODE II: KILKA UWAG NA MARGINESIE



W końcu wybrałem się na *Atak klonów* (niestety: w dniu, gdy w „Krewetce” przeniesiono seanse z sali THX do sali ze zwykłym Dolby-Stereo...). Nie planowałem pisać swojej recenzji (tyle ich było w majowym numerze!), jednak nasunęło mi się kilka własnych uwag (częściowo też nawiążę do stwierdzeń Poprzedników z # 156).

Spostrzeżenia pozytywne:

1. Wprowadzenie wątku i postaci Boby Fetta. Jest sensowne, intrygujące – i nie burzy konstrukcji opowieści. Na to wszyscy zwrócili już uwagę, nie będę oryginalny – ale tu Lucasowi należy oddać sprawiedliwość: Jabba, R2D2 i C3PO zostali wciśnięci do *Mrocznego widma* mocno na siłę!
2. Planeta-ocean i rasa zajmująca się klonowaniem. Nawiązuje to do pierwotnej trylogii (planeta-pustynia, planeta-lodowiec, planeta-moczary, planeta-puszcza), jest piękne plastycznie i ma klimat (jedne z nielicznych nowych postaci, które – choć dziwne – nie są groteskowe). Poza tym pokazuje nam, że na obrzeżach Galaktyki uchowało się nieco światów niezależnych od jurysdykcji centrum (patrz: późniejsze Miasto w Chmurach!).

3. Gniew przyszłego Vadera w obozie Pustynnych Ludzi – świetne, bardzo filmowe niedomówienie (modliłem się w duchu: „Lucas, nie pokazuj całej masakry, zrób cięcie!”).
4. Pokazanie planety-aglomeracji – Coruscant. Niestety, nasi kochani rebelianci walczyli na zadupiu Imperium (gdyby Cesarz nie przyleciał na wizytację nowej Gwiazdy Śmierci – nie zbliżyłby się doń nawet na odległość parseka, że o roku świetlnym nie wspomnę...). Problemem prequela była konieczność pokazania nie prowincji i dzikich ostępów, ale samej stolicy – i to się udało nawet w *Mrocznym widmie*, a *Atak klonów* poszedł znacznie dalej. I było to w pełni uzasadnione fabularnie! Także scena finałowej bitwy nie wywarła na mnie wrażenia jakiegś ogromnej gry komputerowej (co narzuciło mi się natychmiast w *Mrocznym widmie*); miała ona jednak coś z klimatu ataku Machin Krocących (choć oczywiście ta była bardziej widowiskowa, ale w tamtej było więcej dramaturgii!).
5. Najważniejsze w tym wszystkim. Coś, co zachwyliło mnie nawet, jako jedyne, w *Mrocznym widmie* (pisałem o tym przed paru laty), co jest z zupełnie „innego filmu” (którego Lucas niestety nie nakręcił) – i co zauważam nadal w *Ataku klonów*. To postać Palpatine’a, a raczej – misterny sposób, w jaki dochodzi on do imperatorskiej władzy: tak oplata swe otoczenie siecią intryg, że postacie o najszlachetniejszych intencjach po kolei przyczyniają się do przyznawania mu kolejnych urzędów i uprawnień (które on, z „wielką niechęcią”, przyjmuje). Gdy zaś pojawia się w kapturze, jako Darth Sidious, nie widzimy już zatroskanej twarzy „dobrego wujaszka”, tylko znany nam z *Powrotu Jedi* podbródek...

Spostrzeżenia negatywne i kontrowersyjne:

1. Brak jednak pewnego – nieuchwytnego – klimatu, jaki emanował z tamtych trzech filmów. Trudno mi to określić, ale to nie tylko sentyment do czasów, gdy byłem szczupły i ciemnowłosy. W tamtych filmach było „coś”. „Coś”, co w tych – tylko się pojawia (np. wraz z Palpatine’em). Coś z Tolkiena. Mimo technologicznego sztafażu to jednak emanowało ze świata przedstawionego! I chyba nawet nie była to zasługa samych „pierwotnych” *Gwiezdnych wojen* (które przy pierwszym oglądaniu pozostawiły mnie dość obojętnym) – tamta trylogia doskonale zagrała jako całość (mistyczny Yoda w *Imperium kontratakuje*, upiorny Cesarz w *Powrocie Jedi*). Nie była to kwestia samej fabuły jako takiej (intryga *Ataku klonów* na pewno jest bardziej rozbudowana i precyzyjna, niż np. walka o plany Gwiazdy Śmierci!). Tamte filmy są już jednak kawałkiem historii kina. Te – jedynie „bonusem” dorzuconym fanom sagi (dla wielu z nich zresztą bonusem wkurzającym); na pewno nie mają one rangi najważniejszych filmów fantastycznych ostatnich lat: *Dwunastu małp*, *Truman Show*, *Szóstego zmysłu*, *Matrixa* czy *Drużyny Pierścienia*. To chyba kwestia mitu, tj. umiejętności zmitologizowania, banalnych pozornie, opowieści. Tym razem się nie udało (otwarte pytanie: mogło się udać, czy już z samego

założenia – nie). Może ową „mitologizację” sprawiła prostota środków: archetypiczne fabuły, mocno klarowne postacie? Gdy Lucas zaczął się bawić w „subtelności”, to zamiast wydobyc mityczność – obnażył bajkowość całej historii (poza tym „trudności czynią mistrza”, a dziś komputer może wykreować właściwie wszystko...). Może „mitologizacja” ta wynikała też z wyraźnie zarysowanej dychotomii między stechniczowanym Imperium a niedobitkami mistycznego zakonu? Kapitalnie wieńczy to finał *Powrotu Jedi*: Cesarz Palpatine zastawił przecież na rebeliantów perfekcyjną i absolutnie niezawodną pułapkę! Nie wziął pod uwagę tylko jednego – dobroci serca (Ewokowie rzucający się z dzidami na szturmowców w imię bezinteresownej przyjaźni). Nie potrafię postawić tu „kropki nad I” – chyba fascynacja mego pokolenia Gwiezdną Sagą jest zawarta i uzasadniona gdzieś w podświadomości...

2. Syndrom Dumasa (ojca). Już w poprzedniej recenzji napisałem, że wszyscy okazują się nagle znajomymi/krewnymi wszystkich. Sympatycznie jest znów popatrzeć na oba roboty, ale z fabuły *Nowej nadziei* wynika raczej, iż ucieczka z planami Gwiazdy Śmierci była ich pierwszym zaplątaniem się w awanturę wojenną. O Jabbie napomknąłem. Teraz, gdy pojawiła się farma, na której wzrastać będzie Luke – rzecz stała się jeszcze bardziej alogiczna. Owszem, dla fana sagi zabawnie jest zobaczyć np. ciocię (a raczej: stryjenkę) Beru jako młodziankę dziewczynę – ale jak można przypuścić, że Skywalker-senior nie rozpocznie poszukiwań swego syna od dobrze sobie znanej zagrody swego brata? Wielką wolę fabularną będą musieli wykonać scenarzyści, by uzasadnić, dlaczego właśnie na Tatooine ukryto Luke’a i schronił się Obi-Wan! Będę sprawiedliwy: podobne „kwiatki” pojawiają się już w oryginalnej trylogii, ale nie są jeszcze aż tak rażące. Teraz dopiero robi się „kicha”: czy stary Ben tak stetryczeje, że nie rozpozna robotów – swych „towarzyszy broni” – a C3PO jest aż tak roztargniony, że nie skojarzy planety, na której został zbudowany, i gospodarstwa, w którym spędził prawie dekadę?

3. „Zapożyczenia” (świadome lub nie) z innych filmów. Pościg „samochodowy” jest kapitalny, ale – czyż nie przywodzi na myśl *Piątego elementu* (gdzie notabene Ian Holm pysznie parodiował... Obi-Wana)? A killer zmieniający postać – dziwnie pachnie mutantami z „Archiwum X”? Fajnie, że do obsady sagi dołączył Christopher Lee – kolejny klasyczny gwiazdor (po Alecu Guinnessie i Peterze Cushingu) – ale przecież, tuż po *Władcy Pierścieni*, Hrabia Dooku staje się niezamierzoną (?) parodią Sarumana (lepszym nawiązaniem do Tolkienowskiego świata był pojedynek Kenobiego-Gandalfa z Vaderem-Balrogiem!). Walka w wykonaniu Yody byłaby do przyjęcia (bardziej na Moc, mniej na miecze...), ale jego zachowanie przed nią naprawdę bardziej kojarzy się z młodziuteńskim Eastwoodem niż z wkurwionym na perfidne Zło starym mędrcom (może śp. Jim Henson poradziłby sobie z tym lepiej niż Fank Oz)!

4. Anakin-młodzieniec. To już piąty aktor tworzący tę postać: w *Mrocznym widmie* mieliśmy Anakina-dzieciaka, zaś na Vadera złożyły się aż trzy osoby (ktoś inny dał sylwetkę, ktoś inny głos, a ktoś inny twarz). Nasi recenzenci wystawili Haydenowi Christensenowi najrozmaitsze oceny. Może ich pogodzę: moim zdaniem chłopak gra po prostu nierówno. Są sceny, w których naprawdę jest świetny i przekonujący – a zaraz potem potrafi być sztywny i sztuczny niczym nasz Damięcki w *Przedwiośniu*... Nie czepiałbym się za to zbyt scen „romansowych”: w końcu młodzi muszą mieć się mocno ku sobie, żeby Leia i Luke mogli pojawić się na świecie [notabene – Leon nie rozpoznałby swej małej Matyldy, gdyby dożył!]. Scena z owocem „podawanym” Amidali – jakże to stary wątek adepta Sztuki Tajemnej popisującego się swymi możliwościami (patrz: Ged w *Czarnoksiężniku z Archipelagu*).
5. Tytuł. Nie, sama konstrukcja mnie nie irytuje. Jest przecież podobna do poprzednich: *Powrót Jedi* czy *Imperium kontratakuje*, czy... *Gwiezdne wojny*. Dla mnie najgorszym tytułem było *Mroczne widmo* (może w oryginale to wygląda inaczej, ale po polsku totalnie nie ma sensu). *Atak klonów* jest zaś po prostu mylący – to tak, jakby armia klonów zaatakowała nagle Republikę. Sens oddawałyby raczej *Odsiecz klonów* albo *Utworzenie armii* (piszę tu o sensie, a nie mojej propozycji tytułu!).

Tyle ode mnie. Gdy Episode II pojawi się na kasetach – to oczywiście go kupię (do kompletu). Na Episode III też się do kina wybiorę. Ale gdybym miał teraz iść na coś niedawno obejrzanego po raz drugi – wybrałbym jednak *Drużynę Pierścienia*. A tak w ogóle – to mam ochotę na najnowszego Altmana (zwiastuny zachęcające, recenzje entuzjastyczne)...

Jan Plata-Przechlewski

ps.

Schamienie dystrybucji postępuje, dobre tradycje giną: jak można dawać, nawet w kopiach niedubbingowanych, polską wersję napisów czołówki! Przecież to barbarzyństwo! Gorszy pieniądz wypiera lepszy...



GREPSY SA, MAGII NIET

„Nie mógł [się ruszyć]. Funkcje mózgowe odmówiły mu posłuszeństwa”

„Artemis Fowl” irlandzkiego nauczyciela Eoina Colfera reklamowany jest jako bestseller, którego tylko w ciągu pierwszego roku sprzedano pół miliona egzemplarzy. Istotnie, jest się czym chwalić; słusznie uczynił wydawca, pisząc na okładce właśnie o tym, jedynie w trzech zdaniach opisując fabułę. Bowierniczym innym powieść zaimponować nie może.

W sposób oczywisty książka jest efektem trafnego wycucia koniunktury na literaturę dziecięcą. Nie sposób jej zatem nie porównywać ze źródłem tej koniunktury – „Harrym Potterem”. Autor świadomie zamierzył sobie bohatera będącego przeciwieństwem grzecznego Harry’ego. Jego Artemis, 12-latek, jest potomkiem jednego z największych rodów przestępczych, zarazem geniuszem tejże działalności. Planuje on wydostać tajemnice elfów (żyjących w tajemnicy przed ludźmi pod ziemią), a następnie porwać jednego z nich w celu uzyskania znacznego okupu.

Brzmi interesująco? Pomysł jest w książce istotnie najlepszy, ale sam pomysł nie tworzy dobrej literatury. Wykonanie jest niestety kiepsciutkie.

Przed wszystkim akcja opiera się na najbardziej schematycznych schematach filmów akcji – dostosowanych jedynie do założonego istnienia wróżek-elfów (feriae). Kto książki nie czytał, wystarczy że obejrzy dowolny podrzędny film akcji produkcji amerykańskiej – a będzie zorientowany zupełnie nieźle w fabule „Fowla”. Wróżki nie posługują się bynajmniej magią, lecz techniką (nieco bardziej zaawansowaną niż ludzka). Jako ich „reprezentantów” pokazuje nam autor – a to niespodzianka! – „elitarną jednostkę” policyjną, której zadaniem będzie powstrzymanie Artemisa i uwolnienie z jego rąk zakładniczki. Mamy tu policjantkę (pierwszą w historii wróżkę płci żeńskiej w tej jednostce), która zaważyła o jedną sprawę za dużo i ma ostatnią szansę, aby udowodnić swoją wartość; jej surowego szefa, który w sytuacji krytycznej powróci do osobistego uczestnictwa w akcji; twarogłowego, który odbierze „temu dobremu” dowództwo, aby się pokazać i dochrapać stołka w „Radzie”; itp. Płytkie to, aż strach, poza akcją dla akcji czytelnik nie znajdzie tu niczego. Nie zmieniają tego stanu rzeczy pojawiające się co jakiś czas natrętne (wciśnięte na siłę) komentarze, jacy to ludzie są źli, bo czego to się nie dotkna, to zepsują, zniszczą środowisko, są chciwi itd.

Ale „akcja dla akcji” uchodzi mimo wszystko czasem w fantastyce – brak jakiegos specjalnego przesłania nie oznacza jeszcze koniecznie, że książka jest słaba. Przykładów można tu podać sporo – przychodzi mi do głowy np. „Belgariada” Eddingosa albo „Terminator” Camerona. Te dwa utwory odróżnia jednak od „Fowla” jedna cecha, której ten ostatni nie posiada – są (każdy na swój sposób) bardzo sprawnie wykonane i zwyczajnie „wciągają”.

„Artemis Fowl” napisany jest słabo. Przy czym język jako taki w zasadzie nie szwankuje – Colfer pisze poprawnie i nie popełnia błędów w sferze językowej (choć i tu zdarzają mu się kwiatki, jak ten w motcie). Fatalne jest natomiast to, co za pomocą swojego sprawnego języka pokazuje. Poza miłą i nieprawdopodobną akcją najbardziej na poziomie całości zaważyły papierowe postaci. Ich słabość nie tkwi właściwie w samej ich „ramowej” konstrukcji – ale w ich kompletnej niewiarygodności. Elfy, istoty ponoć bardziej wysublimowane, zachowują się dokładnie tak, jak ludzie, których w sposób stereotypowy krytykują – gdyby ich podmienić w książce na ludzi, nikt by się nie zorientował. Wszyscy zresztą bez różnicy nie stanowią charakterów, ale zbiory zachowań – są po prostu płytko zakreśleni. Najgorsza jest postać matki Artemisa (chorej na jakieś urojenia po śmierci męża), wrzucona do powieści jakby z zupełnie innej bajki i opisana w sposób żenujący. Naprawdę można było w inny sposób uzasadnić samodzielność i brak dorosłej kontroli nad 12-letnim Artemisem. Albo chociaż solidnie to uzasadnić. W sumie zamiast chłonać akcję bez zastrzeżeń, czytelnik co chwilę zmuszany jest do stwierdzenia z politowaniem: „no oczywiście”.

Powróćmy na koniec do nieuniknionego porównania z „Harrym Potterem”. „Potter” to książki dla dzieci, które jednak z wielką przyjemnością może przeczytać dorosły (notabene im dalej, tym mniej „dla dzieci” – „Czara ognia” to już zupełnie dorosła powieść). O „Artemisie Fowlu” powiedzieć tego niestety nie można, jest to powieść wyłącznie dla dzieci, które nie zorientują się w niedostatkach stylu. Jest tu kilka ciekawych pomysłów, ale kompletnie niewykorzystanych albo wykorzystanych w sposób fatalny. Jest też odrobina humoru, ale to, co w zamierzeniu autora miało bawić – budzi jedynie politowanie. To, co stanowi o sile cyklu J.K. Rowling – intryga i postaci – u Colfera jest najgorsze. Również budowa świata przedstawionego jest o kilka klas gorsza od „Potterowej”. W sumie odradzam zatem czytanie – chyba że ktoś ma ochotę na kiepskie czytadełko. Zwykle unikam wystawiania książce „cyfrowych” ocen, ale tym razem się przed tym nie powstrzymam: w skali od 1 do 6 – dwója.

Michał Szklarski



Eoin Colfer „Artemis Fowl”.
Wydawnictwo W.A.B. 2002. Str.: 291.





Kołkiem i szpadłem

(Pilipiuk znów w formie)

No i proszę, przekonany byłem o generalnie spadającym w ostatnich latach poziomie opowiadań Andrzeja Pilipiuka z cyklu o egzorcyście Wędrowyczu, a tu miłe zaskoczenie. Po lekturze niektórych jego tekstów, zwłaszcza publikowanych w „Science Fiction”, byłem, nazwijmy to łagodnie, mocno rozczarowany. Zastanawiałem się wręcz, czy autorem tej literackiej konfekcji jest osoba, która się pod nimi (czyli tymi niektórymi tekstami) podpisała, czy też raczej stworzył je jakiś początkujący „uczeń” autora... Gdy sięgałem po „Czarownika Iwanowa”, spodziewałem się – właściwie to sam nie wiem czego, bo z porównania formy autora sprzed kilku lat i z ostatniego roku-dwóch wynikało, że w książce znaleźć mogą teksty o każdym poziomie. I rzeczywiście, niektóre opowiadania są zdecydowanie słabsze – ale w 80-90 % moja ocena książki jest bardzo pozytywna.

Większą część książki (180 stron) stanowi tytułowa powieść – co sprawia, że reszta jest dla niej jedynie dodatkiem. To dobrze, bo powieść, najlepsza w tomie, wpływa w najwyższym stopniu na ocenę całości. Pierwsze opowiadanie, „Hiena”, jest dość dobre i w żadnym stopniu nie wadzi w odbiorze. Trzy ostatnie opowiadania, dodane na końcu (po powieści), można było natomiast spokojnie pominąć z zyskiem dla książki, bowiem są one mało zabawne i, można rzec, „happeningowe” – ot, takie krotchwile, niekoniecznie dopasowane do ogólnego wizerunku bohatera i gubiące na dodatek atut obserwacji obyczajowej. A to poważny zarzut, bowiem bez tego ostatniego tekstu o Jakubie Wędrowyczu stają się wspomnianą już literacką konfekcją.

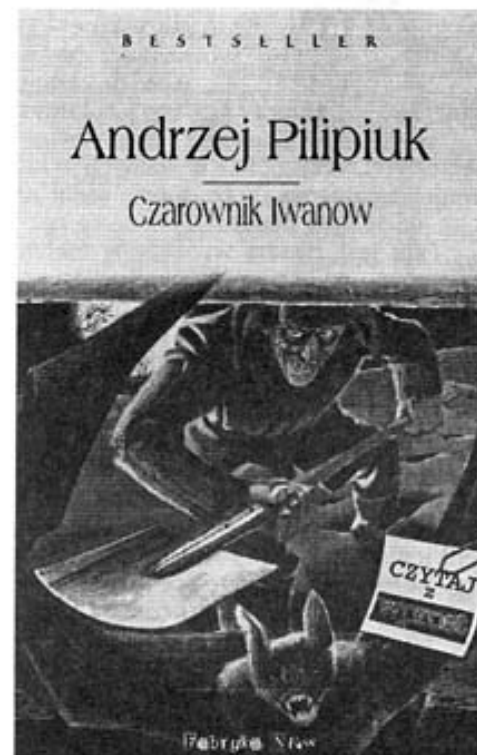
Nie brakuje tego na szczęście powieści „Czarownik Iwanow”. Jest to najdłuższy utwór Pilipiuka z cyklu i jeden z lepszych. Jest to również jeden z poważniejszych tekstów w cyklu (co nie znaczy, że pozbawiony solidnej dawki humoru) – Wędrowycz stacza tu wcale poważne zmagania ze sługą pogańskiego kultu, czarownikiem Iwanem Iwanowiczem Iwanowem. Pomagają mu w tym przysłany przez Watykan portugalski egzorcyista oraz studentka socjologii pisząca pracę magisterską o pozostałościach dawnych praktyk magicznych na wschodnich kresach Polski; przeszkadza natomiast wyjątkowo upierdliwy i nie wykazujący zrozumienia dla owych praktyk magicznych przedstawiciel socjalistycznej władzy – posterunkowy Birski (który zmusza nawet wrogów do chwilowego jednoczenia się przeciw niemu).

Głównym atutem powieści jest to, że jest sprawnie napisana, ze szczególnym uwzględnieniem ciekawych i konsekwentnych charakterów. Do wspomnianej czwórki dodać należy zwłaszcza „carskiego monarchistę” Semena Korczaszko; zresztą wielu mieszkańców Wojsławic to postaci barwne: bimbrownicy, szabrownicy, kłusownicy... Ze zgrzebanej wiejskiej rzeczywistości i chłopskiego rozsądku bohaterów potrafi autor uczynić duży atut swojej twórczości. Także opisy świadczą, że Pilipiuk nie jest już początkującym pisarzem.

W sumie jest to powieść może nie rewelacyjna, ale to kawał solidnej literatury, o jaką wcale nie łatwo ostatnio w polskiej fantastyce. Powrócił Pilipiuk do wysokiego poziomu swych najlepszych tekstów – pytanie jednak, co dalej? Bowiem nie można w nieskończoność „wałkować” tego samego motywu. W „Iwanowie” autor pogłębia charakterystykę mieszkańców Wojsławic i samego Wędrowycza, ze szczególnym uwzględnieniem ich przeszłości, zatem mówi tu jednak coś nowego – ale temat wydaje się powoli wyczerpywać. Zdaję sobie sprawę, że nie może Pilipiuk zrezygnować ze swojej, bądź co bądź, wizytówki – będzie się jednak musiał mocno wysilić, aby nie uczynić kolejnych tekstów z serii po prostu nudnymi.

Michał Szklarski

Andrzej Pilipiuk „Czarownik Iwanow”.
Fabryka Słów 2002. Str.: 239.
Cena det. 24,99 zł.



Schwytyany w sieć

„Darzbór!” – Spiderman

Piątek wieczór miałem wolny, więc zdecydowaliśmy z kumplem wyskoczyć do kina. Jako że tego dnia wypadła premiera „Spidermana”, wiedzieliśmy na co się wybrać. Ku naszemu zdziwieniu sala nie była przepelniona – może późna pora (godzina 20) albo koniec miesiąca były tego przyczyną.

Podczas filmu bawiliśmy się całkiem dobrze. Może wzięło się to z tego, że nie spodziewaliśmy się żadnych rewelacji – w tym filmie nie chodzi o głębokie postacie czy skomplikowaną fabułę. Jest on po prostu adaptacją komiksu, z zachowaniem konwencji tego medium. Jeśli chodzi o fabułę, to film zaczyna się, gdy Peter Parker jest zwykłym nastolatkiem. W jego trakcie zdobywa on swoje pajęczę moce, zaprzyjaźnia się z Mary Jane i pokonuje pierwszego przeciwnika – Zielonego Goblina.



Postać Parkera z początku filmu wydawała mi się trochę zbyt przerysowana, jego fajtlapowatość była moim zdaniem trochę przesadzona. Prawdziwą gwiazdą filmu jest jednak William Dafoe, który gra Goblina. Sceny schizofrenii, gdy rozmawia on ze sobą są rewelacyjne, szczególnie scena w której pada on przed „intronizowaną” maską. Pozostałe postacie też są dobrze grane, szczególnie Kirsten Dunst w roli Mary Jane – jej uroda „dziewczyny z sąsiedztwa” jest wymarzona dla tej postaci. A scena na deszczu ucieszy każdego konesera kobiecego piękna. Ponadto

wyróżniają się aktorzy grający J.J. Jameson’a i Ciotkę May.

Efekty specjalne są dopracowane. Niestety widać, że są efektami specjalnymi, szczególnie w scenach w których Spiderman buja się przez miasto. Kumpel zasugerował, że sceny walki są bardzo matrixowe. Już chciałem się z nim kłócić, gdy pokazano scenę ze zginaniem się do tyłu.

Film jest zresztą wypełniony małymi perełkami, skierowanymi do różnych odbiorców: na ścianie pokoju Parkera wisi plakat Magic: the Gathering (Invasion), Ciotka May mówi do Peter’a – „nie jesteś Supermanem”, scena „żywcem wzięta z Matrix’a”, pierwszy kostium Spidermana. Ponadto product-placement jest sprowadzony prawie do pastiszu, chyba że ja jestem przeczulony.

Zakończenie filmu jest też zaskakujące. Zdecydowanie nie jest typowym dla Hollywood „happy-endem”. Jednocześnie mamy wyprowadzone wątki do drugiej części (reżyser podpisał już umowę na trójkę). Możemy się spodziewać Hobgoblina, jak również dalszego rozwoju wątku miłosnego. W sumie jest to ciekawy koncept – rozwój, a nie zakończenie wątku na koniec filmu. Reżyser mógł jednak darować sobie ostatnią scenę, ze Spidermanem obok powiewającej flagi. Rozumiem wycięcie sceny z WTC, ale to już moim zdaniem przesada.

Na koniec chciałbym przedstawić ciekawą (lub dziwną) interpretację filmu. Jest on metaforą dla przejścia w wiek dojrzały. Peter z ciemajdowego, zamkniętego w sobie nastolatka – staje się poważną osobą z obowiązkami. Ukoronowaniem tego (według niektórych) ma być scena w której oblepia pajęczynami swój pokój testując swoje umiejętności (w filmie ma on to

„wrodzone”, nie buduje on urządzeń do strzelania pajęczyną). Według tej interpretacji jest to metafora pewnego innego rodzaju wytrysku (jako odpowiedź podam, że też chodzi o białą, lepłą substancję).

Podsumowując, chciałbym jeszcze raz zachęcić do obejrzenia filmu, ale tylko tym, którzy lubią komiksy i potrafią dostosować się do konwencji obowiązującej w tego typu mediach.

ceti

Kolejny łowca androidów

Zachęcony udanym wyjściem na Spidermana zdecydowałem się obejrzeć Impostera, szczególnie że koledzy w pracy zachęcali do tego. Dobrze jest mieć kolegów.

Nie czytałem tego opowiadania Philip K. Dicka, więc nie musiałem obawiać się, że zepsuję sobie zabawę znając zakończenie historii. I bardzo dobrze, bo mnie zaskoczyła i do dzisiaj nie mogę sobie wybaczyć, że jej nie przewidziałem.

Film jest nakręcony bardzo sprawnie. Wykreowany świat jest dobrze i wiarygodnie zrobiony. Technologia wkomponowuje się w tło i nie razi ani nie rzuca się w oczy.

Fabuła jest ciekawie skomponowana, szczególnie podobało mi się, że główny bohater przez pół filmu cierpi na halucynacje wywołane narkotykami. Dodaje to pikanterii filmowi, gdyż nie możemy być do końca pewni, tego co bohater myśli lub pamięta.

Najciekawszą postacią jest w mojej opinii Major grany przez Vincenta D’Onofrio. Jego postać jest podobna trochę do postaci Tommy’ego Lee Jonesa ze Ściganego. Zrobi on wszystko co w jego mocy, by schwytać zbiegą, który stanowi zagrożenie dla ludzi („lepiej by zginęło 10 niż 10000”). Jednak jest on w stanie zmienić swoje poglądy, gdy otrzyma stosowne fakty. Zresztą grze Gary Sinise i Madelaine Stowe też nie mogę nic zarzucić.

Należy docenić wysiłek jaki włożono w adaptację tego opowiadania, szczególnie że zakończyła się sukcesem, co w przypadku twórczości Dicka nie jest proste. Nie sądzę, żeby to był film, który przejdzie do klasyki, tak jak „Blade runner” – ale na pewno jest to pozycja, z którą warto się zapoznać.

Adam Cetnerowski



PS.

Oglądając zapowiedzi dowiedziałem się, gdzie podziewa się Belphegor – szwenda się po Luwrze.

Z archiwum Tomka Nowaka



Być jak J.L. Picard

Mimo, że od wydania tej książki minęły już prawie dwa lata, jak dotąd niewiele osób „z branży fantastycznej” zauważyło jej istnienie. Czyżby tak wielkie były skutki totalnego marazmu, jaki wokół Star Treka wywołała zbójcka polityka polskich mediów? Tak czy owak, fakt warty jest odnotowania: po prezentacji w kinach, TV i na video niektórych filmach z fabularnego cyklu, po maksymalnie poszatkwanych przez rodzime stacje telewizyjne serialach oraz po kilku niezbyt udanych próbach publikacji książkowych, na rynek trafił... podręcznik dla studentów Akademii Floty Gwiezdnej!

„Autorem” *Tak postępujcie* jest dowódca U.S.S. Enterprise, Jean Luc Picard. Książka ta jest zapisem wspomnień i doświadczeń z jego służby na flagowym okręcie floty, jako kapitana, w serialu *Następne pokolenie*. Zapoznać możemy się z jego spostrzeżeniami oraz sformułowanymi na ich podstawie lekcjami przywództwa.

W każdym rozdziale, po krótkim wprowadzeniu Admirala Andrei Branda, Rektora Akademii, następuje opis sytuacyjny – streszczenie wybranego odcinka serialu, stanowiącego tło do rozważań natury ogólniejszej. Wykorzystano tu najbardziej znane epizody, m.in.: spotkanie z Borgiem, Kardassjanami Tamarianami, dochodzenie admirała Satie czy manewry wojenne pod okiem Zakdornicyka, mistrza Kolrami.

Ogólnie, podręcznik obejmuje omówienie kilku zagadnień problemowych, z którymi stykają się współcześni adepci sztuki zarządzania. Diagnozy i udzielane w książce porady mają charakter głównie socjologiczny i etyczny, o wysokim stopniu uogólnienia. Nie nastawione na żaden konkretny typ aktywności wymagają dostosowania do konkretnych warunków.

Dla fanów Star Treka, *Tak postępujcie*, to „jazda obowiązkowa”. Jako perfekcjonistów, z pewnością mierzić ich będą nieliczne, jednakże zauważalne błędy w tłumaczeniu. Żal może także, że w sumie przytoczonych epizodów jest niewiele, przez co książkę czyta się tak krótko. Przecież każdy chciałby usłyszeć głośno wypowiedziany morał wpływający ze swojego ulubionego odcinka.

Pozostałym fanom sf książka godna jest polecenia jako ciekawostka, którą warto zauważyć, szczególnie w kontekście tak wielkiej popularności studiów na kierunkach kierowniczych, wyzutyh często całkowicie z elementów etyki na rzecz socjotechniki.

Zastosowanie formuły sf jako nośnika ważnych wartości moralnych i intelektualnych nie jest niczym nowym. Jednakże, polski czytelnik po raz pierwszy może zapoznać się z przekazem tak bezpośrednim – czytasz podręcznik, a więc ucz się i tak postępuj. Zasady głoszone i propagowane przez Picarda są proste i klarowne. Przynoszą wspaniałe efekty dzięki równie wspaniałemu zespołowi współpracowników. Czytelnik staje zatem przed dylematem: uznać je za praktyczne i wstawić książkę na półkę, do której sięga w sytuacjach problemowych czy też potraktować jako utopię, niespełnioną, tak jak i reszta sagi w naszym kraju i wstawić ją do trzeciego rzędu na najwyższej półce, gdzie, być może zanim się rozsypie odnajdą ją wnuki. Czy dla nich lekcje Picarda to też będzie sf?

Tomasz Nowak

Star Trek. Następne Pokolenie. tak postępujcie. Lekcje przywództwa, Wess Roberts i Bill Ross, IFC Press, Kraków 1999.

Z archiwum Tomka Nowaka



Tajemnice bestii

Z pewnością zdziwi się każdy, kto sięgając po tę pracę oczekuje prostych objaśnień horrorów S. Kinga czy J. Carpentera. Tytułowy zwierozłokoupiór – to figura retoryczna, zaczerpnięta z książki T. Konwickiego, reprezentująca w rozważaniach autora wszelkie „bestie” personifikujące wierzenia i mity danej epoki. Ani zatem fantastyka, ani horror nie są tu tematem głównym. Dla czytelników fantastyki ważny jest jednak szeroki kontekst systematyczny, rysowany dla mitu Bestii funkcjonującego w religii, sztuce, a także kulturze, zwłaszcza masowej, na przestrzeni wieków

Tak sformułowane zagadnienie daje szerokie pole dla erudycyjnego opisu autora - prześledzenia historii stworzeń wypełniających bestiariusz ludzkich wierzeń wieków nowożytnych. Wychodząc zatem od eksplikacji dotyczących symboliki czynności pożerania w kulturach magicznych, Kowalski prowadzi czytelnika poprzez „genealogię” znaczenia „upiórów” całej epoki. Oczywiście, studium to odbywa się głównie przy użyciu narzędzi z zakresu interesujących autora - etnologii i antropologii.

Wobec sformułowanego, szerokiego kontekstu prezentacji, pewien mankament książki stanowi jej objętość, stosunkowo niewielka w porównaniu z ogromem zagadnienia. Skłoniła ona bowiem autora do uproszczenia pewnych omawianych kwestii. Mimo, iż śledzi on wiele wątków łączących bądź dzielących stworzenia mityczne różnych epok, ich egzemplifikacja i analiza sprowadza się jedynie do pojedynczych przypadków, zdaniem autora najbardziej wyrazistych. Mamy tu zatem raczej do czynienia z wykładem, z którego argumentacją czytelnik nie koniecznie musi się zgodzić.

Opozycję rodzić może zwłaszcza ujęcie zagadnienia „bestii” w kulturze współczesnej. Każdy czytelnik fantastyki, a w szczególności literatury grozy na pewno ostro zareaguje na niezbyt pochlebne poglądy wyrażane wobec jego ulubionej lektury. Nie trudno będzie tu też zauważyć, że w toku podjętych badań nad koncepcją „obcego”, Kowalski dość kurczowo trzyma się przedrostka „antropos”. Wulgaryzując problem, argumentuje powierzchownością pominięcia w nich całego „nieludzkiego”, a właściwie „pozaziemskie” bestiariusz „współczesnej mitologii” – fantastyki.

Jednakże chociażby właśnie ze względów polemicznych, praca Kowalskiego to opracowanie interesujące. Niewiele ukazuje się ostatnio pozabeletrystycznych pozycji traktujących m.in. o różnych obliczach współczesnego horroru i lit. grozy. *Zwierozłokoupiór*, mimo, że bagatelizuje w dużej mierze jej znaczenie, zmusi niewątpliwie apologetów do pogłębionej refleksji.

Trzeba zaznaczyć wyraźnie, że *Zwierozłokoupiór*, to opracowanie uniwersyteckie. Zatem prowadzone przez autora rozważania, jak i zbudowane na nich tezy o charakterze ogólnym sformułowane są gęstym, nasyconym treścią językiem nauki, wymagającym od odbiorcy znacznie większego wysiłku, niż konsumpcja kolejnej „książki o wampirach”. Jednakże to właśnie dla takich, ściśle sprecyzowanych wniosków, które na pewno wywrą piętno na czytelnikach opracowanie to godne jest polecenia wszystkim, którzy szukają w literaturze czegoś więcej niż tylko rozrywki.

Tomasz Nowak

Zwierozłokoupiory, wampiry inne bestie, Piotr Kowalski, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2000.

Pod rządami wampirów

Horror, to gatunek uprawiany niechętnie być może dlatego, że trudno skonstruować realistyczną, przerażającą opowieść. Łatwo za to się ośmieszyć. Jak tego uniknąć? Ano, zawsze napisać można horror śmieszny.

Jabłoński osadził swą historię w Europie przyszłości, w której władzę dzierżą wysokie rody... wampirów, tytułowych *Dzieci nocy*. Ich życie rozpoczyna się po zmierzchu i znacząco różni się od doli zwykłych śmiertelników zmagających się z trudami słonecznych dni. Na styku tych dwóch światów zawiązuje się intryga, która zawiedzie bohatera powieści z zatłoczonych ulic Sankt Petersburga na salony, gdzie decydują się losy ludzkości.

Konstrukcja świata *Dzieci...*, jakoby obrazoburcza, ostatecznie okazuje się usystematyzowana, a nawet schematyczna. Mimo pozornego nieładu świata wampirów - wielu rozmaitych kultów, sugerowanej dominacji emocji i żądzy na duchem i rozumem - definitywnie okazuje się on po prostu reprezentantem zła ścierającego w się w odwiecznym konflikcie z dobrem. Choć „dobro”, może wydać się czytelnikowi tym razem nieco zaskakujące, by nie rzec - obce.

Lektura tej opowiadki jest czynnością przyjemną. Otrzymujemy literaturę popularną, w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Fakt, że *Dzieci nocy* ukazały się w serii SuperNOVeJ, świadczy o tym, iż wydawca nie obawia się poszerzać profilu edytorskiego. To także ciekawy eksperyment - czy uda się renomowanemu edytorowi wylansować autora piszącego prozę o wyraźnym nastawieniu komercyjnym, bez silenia się na jakiegokolwiek „ambicje”?

Tomasz Nowak

Witold Jabłoński *Dzieci nocy*
SuperNOVA, Warszawa 2001, str. 208.

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

INFORMATOR
157

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY : skr. poczt. 76, 80-325 Gdańsk 37

E-MAIL: gkf @ gkf.3miasto.pl STRONA: www.gkf.3miasto.pl

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nacz.), Krzysztof Papierkowski,
Grzegorz Szczepaniak, Michał Szklarski

OKŁADKA: Radosław Helman

GRAFIKI: Marek Dąbrowski (11), Monika Grabowska (13, 15), Tytus K. Mikołajczak (4),
Piotr Terszel (14, 16, 17)

FOTOSY: www.frankensteen.pl (prócz strony 8)

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 10201853-237451-270-1

Nakład 400

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów
i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji